

Joanna Bator

Brzydkie słowo „feminizm”

Mary Wollstonecraft w pierwszym manifestie ruchu feministycznego „A Vindication of the Rights of Woman” z 1792 r. napisała: „Mam nadzieję, że wybaczy mi moja własna płeć, jeśli traktować ją będę jako złożoną z istot racjonalnych, zamiast pochlebiać jej wdziękom i traktować ją tak, jakby była w stanie wiecznego dzieciństwa, niezdolna do samodzielności”.

Tak oto Kantowski postulat „wyjścia ze stanu niepełnoletności” przybrał w feministycznym wydaniu postać dążenia do emancypowania się kobiet ze stanu „dzieciństwa”, w które popadły z winy płci przeciwnej, uzurpującej sobie wyłączność do praw i przywilejów właściwych wszystkim ludziom. Nieco później Harriet Tylor Mill, towarzysząca życia Johna Stuarta Milla, filozofa wyjątkowo przychylnego emancypacji kobiet, w „Essays on Sex Equality” dodała: „Dlaczego walka o prawa polityczne w świetle prawdy czy racjonalności określana ma być jako uniwersalna, skoro połowa gatunku ludzkiego pozostaje z niej wyłączona? Podział ludzkości na dwie kasty, z których jedna rodzi się, aby rządzić drugą, stanowi w tym wypadku, podobnie jak we wszystkich innych, niepowetowaną stratę; źródło perwersji i demoralizacji zarówno dla

tych, którzy są uprzywilejowani, jak i dla tych, których kosztem cieszą się oni swoją wyższością”. Koncepcja wyzwolenia kobiet wyłoniła się więc jako wewnętrzna krytyka liberalizmu. To on bowiem w ogóle umożliwił postawienie kwestii emancypacji w jej nowożytnym rozumieniu. Oświeceniowi liberałowie, mówiąc o wolności człowieka, mieli na myśli jedynie wolność mężczyzn. Niezależnie jednak od tego, jak burzliwe formy feminizm przybiera współcześnie i jakie sojusze zawierały feministki przez minione dwa wieki – na początku była liberalna wizja Mary Wollstonecraft, a nie odgórne, hurtowe równoprawnienie kobiet, które obiecywano w komunizmie.

Entuzjastki i gorszycielki

Narodziny polskiego feminizmu łączy się najczęściej z warszawską grupą Entuzjastki (1840–50) Narcyzy Żmichowskiej. Dynamikę nadał mu jednak dopiero rozkwit kobiecych ruchów emancypacyjnych w międzywojniu. Jadwiga Krawczyńska, autorka hasła „feminizm” w encyklopedii „Świat i Życie” z 1934 r. zauważa, że od końca XIX wieku, gdy pierwsze feministyczne książki uderzyły „taranem

w zaśniedziale mury przesądów ówczesnych”, działalność polskich organizacji kobiecych nieustannie „wzmagala się i przynosiła wyniki.

W „Świecie i Życiu” czytamy: „W Polsce rozwój feminizmu odbywał się w specjalnych warunkach, łączył się bowiem z dążeniami całego narodu do niepodległości, Polki odgrywały w ruchu wyzwolenicznym wielką, ofiarną i bohaterską rolę, dlatego też nie potrzebowały prowadzić o swoje prawa walki tak gwałtownej jak Angielki. Były one same czynnym motorem uzyskania wolności przez cały naród i dlatego szczęśliwe skutki niepodległości – swobody obywatelskie i równe prawa – nie mogły ich ominąć”.

Ufność Krawczyńskiej w rychłe spełnienie emancypacji była nieco na wyrost, bo mimo zdobycia obu praw wyborczych zaraz po odzyskaniu niepodległości w 1918 r. udział Polek w życiu politycznym nie był duży (jak podaje Renata Siemińska w książce „Kobiety: nowe wyzwania”, w owym czasie stanowiły one 2 proc. w niższej i 5 proc. w wyższej izbie parlamentu). Wiara autorki brała się z przekonania, że wolność – rozumiana jako niepodległość państwa i gwarancja udziału we władzy – równoznaczna jest z wyzwoleniem kobiet. Takie pojęcie wolności wywodziło się z tradycji demokracji szlacheckiej, w której – jak zauważa w „Trzech patriotyzmach” Andrzej Walicki – nie było miejsca na liberalny indywidualizm. Prywatna „wolność od” miała więc mniejsze znaczenie niż wyrażona w okrzyku „kupa, mości panowie” kolektywna wolność w sprawowaniu władzy.

Szlachecka tradycja umocniła wizerunek kobiety jako opiekunki domowego ogniska, która poświęca się w imię męskiej walki o wolność. Gloryfikacja takiego samopoświęcenia podtrzymywała wykluczenie kobiet ze świata męskich spraw. Kiedy po wyzwoleniu mówiono o „woli narodu”, była to raczej wola jego męskich przedstawicieli.

Mimo tych zastrzeżeń, czas przyniósłby może kobietom coś więcej niż tylko formalną emancypację. Wzrost grupowej świadomości kobiet w tamtych latach mógł dać początek

W Polsce istnieje kilkadziesiąt pozarządowych fundacji i stowarzyszeń zajmujących się sprawami kobiet. Działalność wielu z nich zaktywizowała się w związku ze Światową Konferencją na rzecz Kobiet we wrześniu 1995 r. w Pekinie. Raport dotyczący sytuacji kobiet w Polsce, przygotowany przez Biuro Pełnomocnika Rządu ds. Kobiet i przedstawiony na regionalnej konferencji państw Europy (październik '94), spotkał się z krytyką pozarządowych organizacji kobiecych, które uznały za konieczne opracowanie własnego raportu. W ten sposób powstał Społeczny Komitet Organizacji Pozarządowych – Pekin 1995. Weszły doń m.in.: Centrum Praw Kobiet, Centrum Promocji Kobiet, Fundacja im. Stefana Batorego, Fundacja Kobięca eFKa, Federacja na rzecz Kobiet i Planowania Rodziny, Federacja Kobiet Aktywnych Zawodowo, Soroptimist International, Międzynarodowe Forum Kobiet, Polskie Stowarzyszenie Feministyczne, Pro Femina, Stowarzyszenie Neutrum, Związek Dziewcząt i Kobiet Chrześcijańskich – Polska YWCA.

lokalnym odmianom feminizmu, podobnie jak we Francji czy USA.

Istniało wtedy w Polsce kilkadziesiąt organizacji kobiecych o różnym profilu, składzie społecznym i zasięgu – od zrzeszeń wykształconych kobiet z wielkomiejskiej inteligencji po stowarzyszenia wiejskie czy religijne. Bujnie rozwijała się prasa kobieca (od sześciu tytułów w 1926 r. do 31 w 1935 r.), a wśród pozycji poświęconych modzie i poradom domowym przynajmniej trzy miały większe, społeczno-literackie ambicje: „Bluszcz”, „Kobie-

ta Współczesna” i „Głos Kobiet” (organ kobiecej części PPS). W działach literackich dwóch pierwszych tygodników zamieszczały utwory takie sławy, jak Maria Dąbrowska, Maria Kuncewiczowa i Zofia Nałkowska. W dwudziestoleciu działał też Związek Artystek Polskich i kilka artystycznych grupowań kobiecych.

Same organizacje kobiece nie są oczywiście równoznaczne z narodzinami feminizmu, ale ich zróżnicowanie i zasięg świadczyły przynajmniej o potrzebie osobnej definicji kobiecego uczestnictwa w kulturze. Również działalność osób o bardziej radykalnych poglądach na kwestie kobiece, takich jak Irena Krzywicka i inne „gorszycielki”, dawała podstawy do tego, aby polski feminizm nabral podobnego rozmachu jak w innych krajach Europy. Nadzieje te przerwał jednak wybuch wojny. Powojenne doświadczenia udowodniły, że feminizm nie może istnieć bez liberalnego państwa. Na patriarchalną szlachecką tradycję nałożyła się kolejna antyfeministyczna ideologia. Kiedy w latach 70. w USA i niekomunistycznej Europie feminizm „drugiej fali” przeżywał największy rozkwit, a półki w księgarniach zapełniały się pozycjami z zakresu *gender studies*, w Polsce Gierka budowaliśmy – z mniejszym lub większym zapałem – androgyniczny realny socjalizm.

Między „starym” a „nowym” feminizmem

Po 50 latach komunizmu sens słowa „feminizm” w polskiej świadomości społecznej nie ma nic wspólnego z istniejącym od dwóch wieków wielkim projektem intelektualnym. Otwarcie sfery publicznej po upadku dawnego ustroju ujawniło istnienie w Polsce o wiele większej liczby antyfeministów niż feministek. Wiele innych, mniej lub bardziej szczęśliwych, idei szybko znalazło swoje miejsce w krajach postkomunistycznych, ale pozytywny społeczny oddźwięk na feminizm pozostał znikomy.

Wypowiedzi, w których pojawia się w Polsce słowo „feminizm”, można podzielić na cztery główne typy. Pierwszy polega na tym, że wygłaszając antyfeministyczne poglądy, tłumaczy się, iż one są dla kobiet (lub w ogóle) dobre, a feminizm zły. Podstawą takich poglądów bywa bądź brak wiedzy, bądź wiedza anegdotyczna. Wypaczają one sens feminizmu, gdy twierdzi się np., że jest to antyrodzinna działalność na rzecz wolności seksualnej (często wykluczającej mężczyzn), albo trywializują rzeczywiste problemy, którymi zajmują się współczesne feministki. Dla jednych feminizm pozostaje czymś, co niejasno wiąże się z paliem biustonoszy; drudzy zaś to ci, którym udało się odwiedzić amerykański campus uniwersytecki. Lektura jakiegoś tamtejszego kodeksu, zawierającego punkt dotyczący *sexual harassment policy*, składania ich do przekonania, że feministkom chodzi o to, by w konstytucji i Biblii *man* zmienić na *person* oraz nie ustępować kobietom przejścia w drzwiach.

Drugi typ wypowiedzi to taki, gdy poglądom z kolei feministycznym towarzyszy zastrzeżenie, że ich autor nie ma z feminizmem nic wspólnego. Słynne „nie jestem feministką, ale...” niekoniecznie musi przy tym oznaczać niechęć do feminizmu. Kwestie kobiece, z wyjątkiem sytuacji, gdy – tak jak aborcja – stają się narzędziem walki o władzę lub pożywką dla idiosynkrazji, nie są w polityce traktowane poważnie. Dlatego określenie swojej postawy mianem „feministycznej” jest nie tylko niestrategiczne, lecz grozi wręcz zepchnięciem na polityczny margines. Póki słowo „feminizm” ma w świadomości potocznej tyle pejoratywnych konotacji, nie należy oczekiwać np. silnego feministycznego lobby w parlamencie.

Trzeci typ to wypowiedzi, które w mniemaniu ich głosicieli reprezentują „nowy” polski feminizm. Towarzyszy im skądinąd słuszne przekonanie o konieczności dostosowania feminizmu do polskiej specyfiki. Także próby głębszego odniesienia „kwestii kobiecej” do nauki Kościoła katolickiego stanowią ciekawą intelek-

tualnie, choć może dla wielu kobiet „niezyciową”, przeciwwagę dla banalnych żartów z katolickiego konserwatyizmu i jego niekiedy żalonych przejawów. Sama jednak formuła „nowego feminizmu” nieprzyjemnie przypomina „nowego człowieka”. A poza tym, czy w kraju, gdzie kobiety są poszkodowane ekonomicznie, politycznie i prawnie, nie przydałoby się najpierw trochę „starego feminizmu”?

Czwarte, najrzadsze użycie słowa „feminizm” cechuje wprawdzie wnikliwość interpretacji, ale nie sięga ono poza czasopisma specjalistyczne lub pojedyncze wydania innych, sporadycznie poświęcane „kwestiom kobiet”. Wypowiedzi takie dotyczą zwykle bezpieczniejszych tematów sztuki, literatury czy filozofii i trafiają do wąskiego grona wtajemniczonych.

W mediach po 1989 r. mówi się wprawdzie o „feminizmie” znacznie częściej niż dawniej, ale na ogół w kontekstach, które nie świadczą o radykalnym wzroście wiedzy na temat idei emancypacji kobiet i problematyki, jaka wiąże się z nią dziś w starych demokracjach Europy czy Stanach Zjednoczonych. W publicznych wypowiedziach na temat feminizmu poziom wrogości lub niechęci jest odwrotnie proporcjonalny do poziomowi wiedzy. Ignorancja ta charakteryzuje zresztą wszystkie kraje byłego bloku.

Stereotyp feminizmu i feministki należy do monstrów, wykreowanych w świadomości społeczeństw przez spowodowane niewiedzą uprzedzenia. Obraz idei, o której mowa, i osób, które identyfikują się z nią, jest przesadny i uproszczony. Stereotyp polega bowiem na generalizowaniu niewystarczającego zasobu danych oraz nadawaniu im cech obiektywnej prawdy. Tak np. powstał, z jednej strony, stereotyp szargającego świętości liberała pornografa, a z drugiej – zażartego ciemnogrodczyka. I tak też narodził się wizerunek feministki jako dziwacznej trzeciej płci; osoby, której poglądy wiążą się pewnie z defektem jej urody i charakteru albo, nie daj Boże, odmienną orientacją seksualną.

„Feminizm” w Polsce i innych krajach postkomunistycznych stał się więc brzydkim słowem, pomocnym w formułowaniu zarzutów i epitetów. W komunizmie propaganda przedstawiała tę ideę jako żalony oręż obcych burżujek, którym nie dane jest cieszyć się socjalistyczną równością płci. Po zmianie ustroju wydobyto za to na jaw marksistowskie głównie wątki feminizmu, by służyły jego dyskwalifikacji. W czasach PRL, utrzymywano, że polskie kobiety emancypacji nie potrzebują, bo już ją mają. Dziś najwięksi wrogowie określają ją jako coś, czego kobiety nie potrzebują, mimo że nie mają.

Sądzę, że źródeł powszechnej w krajach byłego bloku niechęci do feminizmu należy szukać w spadku po minionej epoce.

Co nam zostało z tych lat

Przez ponad 40 lat komunizmu doszło do deprecjacji terminu „emancypacja kobiet” (i „emancypacja” w ogóle). Nadano mu znaczenie inne niż w liberalnym projekcie. Owszem, za czasów PRL poświęcano sporo uwagi „kwestii kobiecej”, ale wyzwolenie kobiet przedstawiano w terminach walki klas. To, co indywidualne, prywatne, podporządkowane było kolektywnemu dobru. Emancypację sprowadzono do idei równego zatrudnienia osób obu płci. Okupująca sferę publiczną oficjalna ideologia ogłosiła spełnienie ponurej obietnicy socjalistycznego androgynatu.

Amerykańska feministka Ann Snitow, założycielka Network of East-West Women (NEWW), organizacji służącej dyskusji o sytuacji kobiet w krajach dawnego bloku, w „Peace & Democracy News” napisała: „Kwestia kobieca była świętą krową, ale większość kobiet – czy w ogóle większość ludzi – nie miała wiele do powiedzenia o czymkolwiek, żadnej szansy komentowania swojej kondycji. Tak więc teraz, gdy gwałtownie wylaniają się inne rodzaje polityki tożsamości, feminizm jest odrzucany – częściowo z powo-

du starego dobrego seksizmu (Hurra! Nie musimy już dłużej uwzględniać kobiet!), a częściowo dlatego, że komunistyczna idea emancypacji była pełna hipokryzji, purytańska, wymagająca obowiązków ponad miarę, zupełnie niewrażliwa na to, co rzeczywiście znaczył podwójny dzień pracy”.

Ponieważ wyzwolenie kobiet służyło w PRL zaktywizowaniu nowej siły roboczej, więc kobiety były tym równiejsze, im więcej siły roboczej potrzebowała socjalistyczna gospodarka. Ale niezależnie od tego, czy rodzinę traktowano jako „burżuazyjny przeżytek” (lata 50.) czy „podstawową komórkę społeczną” (lata 70.) – równość kobiety i mężczyzny polegała przede wszystkim na tym, że mniej więcej po równo wszystkiego im brakowało. W obliczu państwa, uznanego za wspólnego opresora, cierpiało się wspólnie i pomysł, że problemy kobiet mają jednak trochę inny charakter, wydawał się nietaktowny. Podział państwo/rodzina, który zastępował rozróżnienie na sferę publiczną prywatną, wytworzył więc dwa dyskursy na temat miejsca kobiety. Dyskurs państwowy, w którym gwarancja równego zatrudnienia miała oznaczać spełnioną emancypację, oraz przeciwstawny mu dyskurs domowy, w którym kobieta pozostawała w roli wyznaczonej patriarchalnym charakterem polskiej rodziny. Większość kobiet pozostała więc tradycyjnymi gospodyniami domowymi, które dodatkowo (często nie z wyboru, lecz z ekonomicznego przymusu) zatrudnione były poza domem. Za oficjalną iluzją równości toczyło się życie, które kobietom wyznaczało podwójną rolę matek-żon i pracownic. Nieuwzględnianie różnicy kulturowych doświadczeń kobiet i mężczyzn dawało w efekcie podział na równych i równiejszych. Podział obowiązków domowych sprawiał, że oficjalna „emancypacja” kobiet kończyła się najczęściej po powrocie z pracy. Satysfakcja z pracy może i była w stanie zrekompensować im ciągły brak czasu i zmęczenie, ale w sferze zawodowej były one i tak odsuwane

od wyższych stanowisk i najlepiej płatnych sektorów gospodarki. Mniejsze zawodowe sukcesy kobiet brały się też zapewne z podwójnego obciążenia, trudności pogodzenia ról zawodowych i domowych.

Pracę poza domem kobiety odbierały więc często jako odgórny przymus, a nie realizację własnych możliwości czy wyzolenie. Jak pisze czeska feministka Irina Siklova: „Kobiety, które przeżyły realny socjalizm, sądzą, że zachodnie feministki przeceniają znaczenie zatrudnienia dla emancypacji”.

Brak satysfakcji z gwarantowanej przez państwo wątpliwej emancypacji i niemożność publicznego wyrażania niezadowolenia ze swojej sytuacji skłaniały kobiety do kultuwania tradycyjnych ról. Głównym punktem odniesienia dla żyjących w PRL był „naród” i „rodzina”. Odpowiedzialność za tę ostatnią spadała na kobietę. Sprawy „narodu” należały raczej do mężczyzn.

Wprawdzie rodzina składa się zwykle co najmniej z dwóch osób różnej płci, ale to kobieta – często również w jej mniemaniu – jest z nią utożsamiana. Gdy zatem w świadomości społecznej funkcjonuje silny stereotyp feminizmu jako postawy antyrodzinnej – wielu kobietom może się wydawać, że jego celem jest podważenie wartości ich życia „poświęcających się matek” czy „dobrych gospodyń”. Na kształt polskiej niechęci wobec feminizmu wpłynęła nie tylko PRL-owska ideologia, która liberalną ideę emancypacji kobiet sprowadziła do karykatury – muskularnej traktorzystki. Polskę wyróżniała na tle innych krajów Europy Wschodniej rola Kościoła katolickiego. Był on nie tylko ośrodkiem religijnym, lecz także instytucją opozycyjną o najszerszym oddziaływaniu i cieszył się powszechnym społecznym poparciem.

Nie zapominając o historycznej roli polskiego Kościoła, trudno nie dostrzec, że w obywatelskim społeczeństwie otwartym niektórzy jego przedstawiciele radzą sobie już nie najlepiej. Podobnie silnie związani z Kościo-

łem politycy. Jednym z przejawów tego jest konserwatywny esencjalizm w pojmowaniu kobiety. Stare fetysze „esencji kobiecości” czy „prawdziwej kobiety” stają się argumentami przeciw równouprawnieniu. Skoro kobieta – jak sadzą niektórzy –, „z natury” predysponowana jest wyłącznie do życia w domu i wychowywania dzieci, postulat feministycznej emancypacji jest roszczeniem „wbrew naturze”.

Idea feminizmu znów więc staje się narzędziem antifeministycznej ideologii. Różnica polega jednak na tym, że o ile przedtem przeciwnicy utożsamiali ją z ekstrawagancjami wrogich klasowo kobiet zza oceanu, o tyle teraz rozumiana bywa jako część wstydlivego komunistycznego dziedzictwa.

Problem bez nazwy? Według badań CBOS z października 1993 r. nad światem wartości współczesnych Polek na pierwszym miejscu spośród najważniejszych rzeczy w życiu kobiety znajduje się „miłość, kochający mąż, narzeczony”, a następnie „szczęście własnych dzieci” i „bogate, dostatnie życie”. Wartości takie, jak „niezależność materialna” i „kariera zawodowa”, zwykle łączone z feministycznym światopoglądem, zajmowały piąte i szóste miejsce. Jednocześnie ponad połowa ankietowanych kobiet preferuje partnerski model małżeństwa (54 proc.), a dwukrotnie mniej – tradycyjny, w którym kobieta nie pracuje zawodowo, zajmując się przede wszystkim domem i dziećmi (27 proc.). Najmniej kobiet (14 proc.) opowiedziało się za modelem małżeństwa, w którym kobieta pracuje zawodowo i zarazem zajmuje się domem, czyli modelem, jaki upowszechnił się za sprawą peerełowskiej „emancypacji”. Z tych samych badań wynika, że preferowany przez kobiety model życia (związek partnerski) nie ma pokrycia w rzeczywistości, bo niezależnie od tego, czy kobieta pracuje czy nie, spada na nią przeważająca część obowiązków domowych. Nie dziwi zatem, że autorzy badań CBOS poświęconych rodzinie z listopada 1994 r. piszą: „Kobiety wykazują tendencję do niższej oceny

różnych aspektów życia rodzinnego (zadowolenia z męża, z dzieci, z atmosfery domowej)”.

Żadnych przełomowych zmian nie przyniosły badania ze stycznia 1997 r., dotyczące stosunku kobiet do podziału obowiązków domowych. Nadal ogromna większość prac domowych spada na kobietę, a rola partnera ogranicza się do „pomagającego męża”. W życiu polskiej rodziny przeważa więc model, który cieszy się najmniejszym poparciem kobiet. Polki nie mają poczucia, że ich interesy są reprezentowane w sferze publicznej. Tylko 14 proc. twierdzi, że istnieją organizacje dbające o sprawy kobiet; 77 proc. uważa, że są one potrzebne, ale chodzi im głównie o placówki opiekuńcze i doradcze. Jako przyczynę swojego niezadowolenia kobiety podawały dyskomfort materialny, bezrobocie, problemy z dziećmi, alkoholizm, zakaz aborcji, nadmiar obowiązków, przepracowanie.

Na uwagę zasługuje fakt, iż źródeł tych problemów nie wiązano z – niekiedy oczywistą – dyskryminacją ze względu na płeć. Jedynie 4 proc. ankietowanych uznało tę formę dyskryminacji za istotną i mniej więcej tyle samo widziało potrzebę organizacji, która by ją zwalczała. Były to przede wszystkim kobiety młode i wykształcone (badania CBOS, październik '93).

Rozbieżności między wartościami deklarowanymi przez Polki a rzeczywistością i brak definicji ich sytuacji przypomina to, co Betty Friedan, czołowa postać amerykańskiego feminizmu „drugiej fali”, określiła w „The Feminine Mystique” jako „problem, który nie ma nazwy”.

Feminizm po polsku

Czy jest miejsce dla feminizmu w kraju, w którym podobno większość obywateli uważa kwestię równouprawnienia kobiet za ważną dla demokracji?

Polska należy do tych krajów postkomunistycznych, w których feministyczne idee

pojawiły się w życiu intelektualnym i społecznym. Niezależnie od narzekań rodzimych i zagranicznych feministek na pewno wiedzie nam się lepiej niż np. koleżankom z Białorusi.

Szybciej niż gdzie indziej feminizm dostał się też na nasze uniwersytety. W 1996 r. powstały przy Instytucie Nauk Stosowanych Uniwersytetu Warszawskiego interdyscyplinarne studia nad kulturową i społeczną problematyką tożsamości płci. Pod tą nazwą kryje się mniej więcej to, co na amerykańskich uniwersytetach określa się mianem *gender studies*. Prowadzone tam seminaria przybliżają studentom feministyczne eksploracje, m.in. w dziedzinie teorii literatury, historii sztuki, filozofii, prawa. Również na uniwersytetach w Łodzi i Poznaniu widać rosnącą przychylność dla naukowych kwestii związanych z feminizmem. Kilka seminariów odbywa się regularnie na studiach doktoranckich w Szkole Nauk Społecznych, którą od 1993 r. istnieje przy Instytucie Filozofii i Socjologii Polskiej Akademii Nauk. Co roku przybywa feministycznych konferencji, coraz częściej naukowe imprezy poświęcone ogólniejszym problemom część miejsca rezerwują dla feministycznych wystąpień.

W niektórych księgarniach pojawiły się specjalistyczne półki. W większych miastach można znaleźć np. czasopismo „Pełnym głosem” – jedyny polski feministyczny periodyk o szerszym zasięgu. Zawartość tych półek jest jednak nadal uboga i dość przypadkowa: od rozczulających poradników „Jak być piękną i pożądaną” po filozofię czy socjologię. Rodzący się w demokratycznej Polsce ruch feministyczny na pewno będzie inny niż w krajach Zachodu. Łączenie wartości przeszłości i teraźniejszości w nową jakość przyniesie również odmienne rezultaty we wszystkich krajach dawnego bloku. Nie znaczy to jednak, że niczego nie możemy już się nauczyć od zagranicznych feministek „drugiej fali”. Jak napisała Slavenka Drakulic, pisarka i publicystka z byłej Jugosławii, feminizm w krajach postkomunistycznych może być treningiem

przygotowującym kobiety do korzystania z demokracji. Uczy bowiem jasnego wyrażania swoich potrzeb, organizowania się i wywierania nacisku na instytucje. Feminizm jako część demokracji daje kobietom możliwość egzekwowania ich „prawa do żądania, pytania, zmieniania i decydowania”.

Podstawą tożsamości społecznej, również feministycznej, jest przynależność do pewnej grupy. Utopijne byłoby jednak oczekiwanie monolitycznej tożsamości „polskiej kobiety”. Podobieństwo poglądów można odnaleźć wśród kobiet o zbliżonym statusie społeczno-zawodowym (nie inaczej jest zresztą z mężczyznami). Dzisiejszy feminizm „drugiej fali” nie zawiera jedynej interpretacji świata. Zagraniczne feministki przeszły długą drogę, aby móc zrezygnować z marzenia o uniwersalnym *sisterhood*. Nie jest to dowód słabości. Zgoda na pluralizm jest zgodą na dialog. W idei feminizmu nie chodzi o zacieranie różnic między kobietami czy kwestionowanie ich stylów życia i narzucanie jedynie słusznego systemu wartości. Przeciwnie, chodzi o wolność wyboru i pokazanie prostego faktu, że tę wolność często się kobietom ogranicza. Warto o tym pamiętać, gdy mowa o nowych, lokalnych odmianach feminizmu.

Idea równych praw nawet w demokratycznym państwie nie od razu je gwarantuje. Feminizm jako jeden ze sposobów urzeczywistniania demokracji polega więc na tym, aby decyzji dotyczących kontroli nad kobiecym ciałem, reprodukcją i równouprawnieniem nie zostawiać dłużej w gestii ludzi (niekoniecznie mężczyzn!), dla których są one tylko jedną z kart w grze o polityczną władzę. Rezygnacja kobiet z demokratycznego prawa do „żądania, pytania, zmieniania i decydowania” grozi tym, iż pozostawią swój los w rękach pretendujących do wyłączności ideologów albo fanatycznych kapłanów, dla których takie słowa jak dialog i tolerancja pachną ogniem piekielnym. ●

„Gazeta Wyborcza” 27–28 czerwca 1998